

Adam Wlaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

36

— Czytaj po cichu. Ja wolę odpocząć trochę.
— Panna Józia to taka szarowana jak i ja. Władek przysiadł na stołeczku, otworzył książkę i zatonął w czytaniu.

Józia wsparła głowę na ręce i różnemi myślami usiłuje odgonić senność, która się skrada podstępnie, czyha na przemęczony pracą organizm.

O szóstej rano wstała, jak codzień. Mieszka daleko stąd, a przed w pół do ósmej musi być już na swoim stanowisku. I odtąd ciągle na nogach, obiad nawet jadła stojąc. Dopiero teraz chwila odpoczynku. W cukierni pusto... cicho... tak rozkosznie cicho... „Martwa” pobiednia godzina.

Najemnica państwa Musiałków może odechnąć, usiąść na chwilę, dać folę obolałym od bezustannej krętaniny nogom, zebrać myśli.

Choć po co te myśli? One takie niewesołe, męczące. Lepiej byłoby zadrzemać, ale nie wolno. Trzeba być ciągle w pogotowiu. A nuż wejdzie ktoś...

A zatem myśleniem spędzać sen z ciężących powiek.

— Wczoraj sflukłam dwie szklanki. W kasie brało ośmdziesiąt halerzy. Omyliłam się widocznie... wydałam komuś za dużo... co za szczęście, że nie więcej... dzisiaj znowu ten Karol... Ciasika liczone... Wytrąca pewnie, a tu bućki dra sę... z pończoch strzępy leca... jak kupić... za co?...

Władek oderwał nagle wzrok od książki. Coś mu się przypomniało.

— A wie panna Józia, że stara to nas prosto świństwami karmi... Kasza i kasza... A sami pieczenie żreją i leguminki... I ciastek nie pozwalają brać, chociaż w innych cukierniach...

Józia nie odpowiada. Wszystko jej to jedno, co zje. I tak coraz ma mniejszy apetyt ku wielkiemu zadowoleniu pani Musiałkowej.

— Pannę Józię może głowa boli? — pyta Władek.

— Boli.

— Mnie także bolała... ale jakem zaczął czytać... Słuchaj historii... Ten rycerz Zbislaw, to wyswobodził uwięzioną kasztelanę. A ona była bardzo piękna i on się zakochał... Pewnie była taka jak pani...

Chłopiec przewrócił kartkę książki i umilkł.

Po wargach Józi, które dawniej płonęły barwą purpurowego kwiatu, a dziś są jak bladoróżowy koral, przemknął bolesny uśmiech. Po nią nie przyjedzie żaden rycerz, żeby ją oswobodzić. Co najwyżej jakiś c. k. „leutenant” zaproponuje jej, żeby z nim zjadła kolację. A pani Musiałkowa przypomni, że dla wojskowych panna Józia musi być bardzo grzeczną...

Mimowoli młoda kobieta spojrzała na swoją prawą rękę, na której nie było już obrączki. Zdjęła swój pierścionek ślubny, schowała. Panna Józia... Nazywają ją panną Józia, jak gdyby nigdy nie była mężatką... Bo też nie przynależała się... Nikt tutaj nie wie o tem i to całe szczęście...

Józefa Żarnicka i koniec!... Cóż to kogo obchodzi, że istnieje jakiś Konrad Żarnicki... tak szalenie kochany, a tak strasznie brutalny i bezwzględny... Cóż to kogo obchodzić może, że był jakiś ślub... i było mażenie o szczęściu, wdeptane w błoto nogami zlej, a mocnej kobiety...

Po cóż ludzie mają pytać się, dziwić się, może trochę wyrażać, a może sztydzić...

Niel! Tutaj we Lwowie nikt o tem nie wie, że panna Józia, usługująca w cukierni, jest żoną Konrada Żarnickiego, synową bogatej, dumnej pani...

I nie myśleć już o tem! To za bardzo boli! Raczej zastanowić się, jak tu podzielić tak marną pensję, żeby starczyło i na bućki... i na kupienie nowych pończoch... i na zapłacenie mieszkania... i na pranie... i na węgle, bo wkrótce już przyjdą jesienne chłody i trzeba będzie zacząć palić w piecu...

Pogrążona w zadumie nie zauważyła, że drzwi otwarły się.

— Budzę panią panno Józiu... O czym panienka tak marzy?

Drgnęła i podniosła głowę wystraszona. Ale zaraz uśmiechnęła się mile, przyjaźnie, prawie wesoło.

Lubiła tego staruszka-emeryta, który przychodził tutaj codziennie o jednej i tej samej godzinie na gazetkę i herbatę ze śmietanką i z sucharkami.

Każda najmniejsza cukierenka posiada kilku takich stałych, konserwatywnych bywalców, którzy nie mogą przyzwyczaić się do nowych, wielkich, błyszczących lokali kawiarnianych, do roju służby, powodzi światła, a przede wszystkim do hałasu, dymu i tłumy.

— Dzień dobry panu radcy.

— Dzień dobry pani... Jakże zdróweczko... O! blada panienka, to nie dobrze...

— Władziu! Herbatkę ze śmietanką dla pana radcy. Skocz do kuchni! — mówi Józia, odsuwając szufladę pełną sucharków.

— Już skaczę, na jednej nodze!

Władek zamknął książkę, schował ją pod ładę i pobiegł do kuchni.

Radca z dobrodusznym uśmiechem na swej czerstwej jeszcze, siwym zarostem okolonej twarzy, przypatruje się Józi.

— No i nie powie mi pani, o czym się tak marzyło, kiedy ja wchodziłem?

— Nie marzyłam wcale.

— Ej! Mnie się o tem powiedzieć można. Nie zdradzę... O narzeczonym?

Usta młodej kobiety zacisnęły się. Powieki nisko opadły na oczy, rzucając cień rzęs na blade policzki.

— Nie mam narzeczonego.

— No to wkrótce będzie pani miała.

— I nie będę miała.

— Dla Bogal Panno Józiu!... Cóż za pesymizm!

— To nie pesymizm, proszę pana, to pewność.

Staruszek uważnie spojrzał na Józię. Niezły był znawca ludzi. Wyczuł, że w tej odpowiedzi kryje się coś więcej, niż zwykle droczenie młodej, ładnej dziewczyny, która grozi: „ja nigdy za męża nie pójdę”.

— Jest herbatka dla pana radcy — melduje Władek — i śmietanka z kożuszką. Ja sam przypilnowałem, żeby nie oszwabili.

— Dziękuję ci, synu. Panno Józiu, dotrzymaj mi pani dzisiaj towarzystwa? Przyjemnie przy herbatce pogadać trochę.

I Józia mile są te pogawędki z dobrym, życzliwym człowiekiem, ale waha się trochę.

— Władziu, zastąpisz mnie?

— Ta rozumie się, że zastąpię!

— I zawałasz jak będzie potrzeba?

— Ta pewnie, że zawałam! O jej! Wielkie rzeczy zawałam! Niech się panna Józia nic nie boi!

Radca usiadł przy „swoim” stołeczku pod oknem i popijając herbatę, rozmawiał jednocześnie z Józią.

— Sliczna jesień! Dobrze, że chociaż ziemniaki nie zgniją.

— A tak! Piękny czas.

— Jutro niedziela... Pewnie pani wybiera się gdzie na spacer... a może do kina, albo do teatru?

— Skądże... Jutro tak samo jak i dzisiaj będę od rana aż do wieczora za ładą.

— Jakto? Musi pani przecież mieć jakieś „wychodnie”.

Nie wymówiła sobie pani tego? Józia uśmiecha się blado. Gdzie ona tam wtedy myślała o tem, żeby sobie coś wymawiać.

— Pan Musiałek wspominał, że co trzecią niedzielę... Ale tak się jakoś zrobiło, że wcale z tego nie korzystam.

— I tak bez żadnego odpoczynku... Ależ to okropnie! Dla takiej młodej dziewczyny!

— I tak nie miałabym gdzie iść... ani z kim.

— Pani niema tutaj krewnych... znajomych?

— Nikogo.

— Pani z Krakowa, prawda?

— Tak.

Chciał zapytać: „i cóż cię tu przygnało, biedne dziecko”, lecz Józia tak uporczywie patrzyła w okno, że zaniechał dalszych pytań.

Emeryt maczał sucharki w herbacie i jadł powoli, smakując. Nie spuszczał przytem oczu ze smutnej, przejrzyście bladej twarzy swej młodej towarzyski. Myślał, że dziewczyna ta ma w sobie coś z cudnego, wiosennego kwiatu, zwarzonego chłodem i coś z przyduszonego płomienia.

Kiedy jednak słońce dogrzeje, a płomień wyswobodzi się...

— Musiała mieć jakieś bardzo ciężkie przeżycia w życiu — rozumował. — Stąd to zniechęcenie, anaty, smutek. Ale to minie. W niej przecież jest pęd do życia i temperament! O! nawet dużo temperamentu! Tylko, co ona za jedyna? Skąd się tutaj wzięła? Że nad kołyską nie śpiewali jej o posadzie u państwa Musiałków, to widoczne.

Dopił resztę herbaty, odsunął szklankę i odchrząknął. Józia milczała dziwnie zgaszona.

— Wie pani — podjął rozmowę radca — że ci Musiałkowie, to haniebnie panią wyżyskują. Ile oni pani płacą?

Wymieniła niepokojącą kwotę.

— Co? Tylko tyle za taką całodzienną harówkę! — oburzył się staruszek. — Ależ to jest...

— No, dostaję i wikt.

— Nie utyla pani na tym wikcie. Nie, nie, to wogóle nie jest dla pani posada. Wprawdzie dla mnie bardzo miło, ale... Pani musi być tutaj narażoną na rozmaite brutalne zaczepki.

Młoda kobieta skinęła obojętnie głową.

— Oczywiście. Trudno. Zadowolona jestem, że to miejsce dostałam.

— Ta czegoż u licha jesteś pani taka zrezygnowana, apatyczna, bez energii?

Józia uśmiechnęła się tak smutnie, że staruszkowi ścisnęło się serce nieokreślonym jakimś uczuciem litości czy trwogi. Jego najstarsza wnuczka była w tym samym mniej więcej wieku. Wyobraził sobie, że mógłby na hożej, świeżej twarzyczce wesołej, jak ptak wiosenny, Zosi, dojrzeć taki wyraz smutku i zniechęcenia.

— Możeby ja dla pani znalazł jakieś inne zajęcie. Mam już nawet coś na widoku. Umie pani po niemiecku?

— Bardzo słabo.

— A o buchalterii, o rachunkowości ma pani jakie wyobrażenie?

— Zadnego.

— To może pisze pani na maszynie?

— I to nie.

— Radca potarł ręką czoło zakłopotany.

— To hm... Rzeczywiście. Chybaby do biura kart. Ale tam natłok... protekcji trzeba.

Józia wykonała ręką gest zniechęcenia.

— Dziękuję panu bardzo za życzliwość, ale niech się pan radca napróżno nie kłopotuje. Jestem do niczego. Już mi to nieraz powiedziano.

Radca zżymnął się.

— Do niczego... Do niczego... Także austriackie gadanie! Że tam panią do samodzielnej pracy nie wychowano...

Młoda kobieta zaśmiała się gorzko i ostro.

— Ach! To moje wychowanie!...

— Ech! Co tam! Jesteś pani młodą dziewczyną, miłą i ładną. Bardzo nawet ładną, ja, stary, pani to mówię... Wyjdzie pani dobrze za męża...

Józia oblata się nagle falą krwi. Mimowoli, a raczej wbrew woli, wyrwały się jej słowa:

— Ja nie jestem już panną!

Radca zaczął kręcić kulę z papieru. W zakłopotaniu poglądził swoje gesty, siwe bokobrody. Miał bardzo niewyraźną minę.

— To jest... niby... jakto?...

— No jestem mężatką!

— Mężatką?!

— A tak.

Sięgnęła do szyi i pokazała mu obrączkę ślubną, którą miała na łańcuszku, razem z medalikiem z Matką Boską.

Emeryt osłupiał.

— Kiedyż pani zdążyła za męża wyjść? Takie dziecko! I dlaczego pani nie nosi tej obrączki na palcu?

— Bo lepiej, żeby tutaj nikt nie wiedział. Sama nie wiem, dlaczego powiedziałam panu.

— To gdzież ten pani mąż?

— Przy wojsku.

— Aha! Przy wojsku — powtórzył — i on wie oczywiście, że pani tutaj pracuje?

— Nie wie.

— Nie wie? Jakto? Nie rozumiem...

Józia nie odpowiedziała nic.

— Przecież pani musi mieć jakąś rodzinę, no i mąż chyba także.

Niebieskie oczy zaśniły szklawem łez.

— I ja mam rodzinę i on ma rodzinę, ale niech mnie pan radca o nic więcej nie pyta, bo nie powiem. I tak już powiedziałam za dużo.

Radca był jednak zbyt zaciekawiony, aby na tem poprzestać.